

KOMU FABRYKĘ



DODATEK GŁOSU WIELKOPOLSKIEGO

Nr 138

7. VI. 1964

Rok IV

Oferta CEKOP-u na corocznych Międzynarodowych Targach Poznańskich ilustruje bodaj najlepiej możliwości eksportowe całego polskiego przemysłu, choć ta centrala nie prezentuje na stoiskach swoich licznych obiektów sprzedaży. CEKOP sprzedaje bowiem całe obiekty przemysłowe. Pośredniczy więc między odbiorcą zagranicznym a polskimi „producentami fabryk”. Każda nowa umowa, zawarta przez CEKOP, to zobowiązanie do wysłania za granicę na ogół całej fabryki i równocześnie zapowiedź wpływu grubego portfelu dewiz.

Po raz pierwszy Polska podjęła się tego, niezwykle atrakcyjnego eksportu w 1954 r. Za granicę wysłaliśmy wtedy cukrownie, płućki do węgla, kotłownie. Niełatwo było wejść na rynki światowe. Trzeba było stanąć w szranki konkurencji z firmami ze stuletnimi rodowodami. Dopomogli nam wówczas kraje socjalistyczne przez dokonanie pierwszych zakupów naszych obiektów, wymianę fachowców i doświadczeń.

W latach 1961—1962 zawarliśmy już blisko 100 kontraktów. Wysiłek polskiego przemysłu, polskiej myśli technicznej i dogodne warunki współpracy między krajami RWPG, zwłaszcza współpraca ze Związkiem Radzieckim, pozwoliły okrzepnąć naszemu eksportowi obiektów przemysłowych. W niektórych dziedzinach jest on już naszym, tradycyjnym eksportem. Dziś znak „Made in Poland”, na kluczu do bramy nowego zakładu, uruchamianego gdzieś tysiące kilometrów od Polski, nikogo już nie dziwi. Ani nas, ani naszych odbiorców.

Do 1964 roku wyeksportowaliśmy ponad 200 dużych obiektów przemysłowych. W trakcie budowy znajduje się 150 następnych. Łącznie z budową małych zakładów i częściowymi dostawami, Centrala Eksportowa Kompletnych Obiektów (CEKOP) zawiera dotychczas ponad 800 kontraktów.

Co sprzedajemy? Cukrownie, chłodnie, cementownie, zakłady lekkich betonów, huty szkła, zakłady konstrukcji stalowych, fabryki kwasu siarkowego, elektrownie, zakłady przemysłu maszynowego i wiele innych. Na liście naszych korespondentów, oprócz krajów socjalistycznych, figurują firmy 70 krajów. Eksportujemy najwięcej do krajów rozwijających się, jak: India, Egipt, Ghana, Maroko, Indonezja i do uprzemysłowionych krajów Zachodu, m. in. do Francji, gdzie budujemy właśnie wielkie elewatory zbożowe.

Szczególnie korzystne dla perspektyw rozwoju naszego przemysłu są wieloletnie umowy na dostawy kompletnych obiektów do ZSRR. Wymienić tu można choćby ostatnio zawartą umowę na dostawę dla Związku Radzieckiego kilkudziesięciu obiektów przemysłu chemicznego, w tym 40 fabryk kwasu siarkowego.

Budowa każdego obiektu przemysłowego jest wynikiem współpracy wielu gałęzi przemysłu krajowego, wielu miast, wielu zakładów. Węzłowe części wielkich obiektów dostarczane są przez zakłady zlokalizowane na ziemiach zachodnich i północnych w Elblągu, Raciborzu, Wrocławiu i Szczecinie. Zakłady w tych miastach wytwarzają elementy fabryk wielu obiektów — turbiny i generatory pochodzą z Elbląga, kotły z Raciborza, maszyny elektryczne i mózgi elektryczne z Wrocławia, transport wewnętrzny i dźwigi ze Szczecina.

Te nowe, lub wzniesione z gruzów zakłady przemysłu ciężkiego były budowane celowo i kosztem ogromnego wysiłku właśnie na tych ziemiach. Wysiłek opłacił się.

Na przykład Nysa w woj. opolskim. Na miejscu sześciu zniszczonych fabryczek powstał kombinat przemysłowy urządzeń technicznych. Tu budujemy wyposażenie zakładów przemysłu chemicznego.

W latach 1965—1970 „Nysa” przygotowuje na eksport 40 fabryk kwasu siarkowego, w tym 30 fabryk o rocznej wydajności 180 tysięcy ton każda. Aby zdać sobie sprawę z wielkości tego osiągnięcia przemysłowego przypomnijmy, że w roku 1927 cała Polska produkowała... 180 000 ton kwasu siarkowego i to przy pomocy importowanych urządzeń.

Ten sam zakład w Nysie produkuje w kooperacji ze Świdnicką Fabryką Urządzeń Przemysłowych na Dolnym Śląsku 70 proc. wyposażenia cukrowni, m. in. nowoczesną aparaturę do dyfuzji ciągłej. W produkcji wyposażenia cukrowni zakłady w Nysie są jednym z najpoważniejszych eksporterów w Europie. Uczestniczą niemal we wszystkich „cukrowniczych” przetargach i bardzo często te przetargi wygrywamy.

Eksport kompletnych obiektów przyniósł nam miliardy złotych dewizowych. Oferta CEKOP-u na tegorocznych XXXIII MTP powinna powiększyć i tak już dużą listę zamówień na przyszłe dostawy polskich kompletnych obiektów przemysłowych dla zagranicy.

„W szerokim łańcuchu przemysłowych powiązań wszystkich wskaźników założonych w wytycznych planu na następne 5-lecie — ogólnie eksportu staje się ważniejsze niż kiedykolwiek w przeszłości. Za to ogólnie powinniśmy uchwycić mocno, powiedziałabym obu rękami i ciągnąć je do granic nakreślonych w wytycznych planu, gdyż od tego uzależniona jest w wielkiej mierze realizacja pozostałych wskaźników planu”.

Tyimi słowami Władysław Gomułka określił na XV Plenum KC obecną sytuację i rolę handlu zagranicznego w naszej gospodarce. Wynika więc potrzeba zwiększenia obrotów o 50 proc. w stosunku do ubiegłego roku, a dalej — potrzeba zwiększenia o 60 proc. eksportu i o 43 proc. importu. Mamy zatem obowiązującą dyrektywę rozwoju tej części ekonomiki.

Dla jej wykonania potrzebna jest nowa koncepcja działania w przemyśle i handlu. W tezach na IV Zjeździe PZPR poddano krytyce dotychczasową efektywność naszego eksportu. Postulowano wywóz takich wyrobów, których fabrykacja pochłania wiele skomplikowanej, precyzyjnej pracy; nowoczesnej, własnej myśli technicznej — bo to jest dla eksportu najkorzystniejsze. W przypadku przemysłu chodzi więc szczególnie o maszyny, wyroby przemysłu chemicznego oraz artykuły przemysłowe o charakterze konsumpcyjnym. W odniesieniu do przetwórstwa rolno-spożywczego chodzi o produkty uszlachetnione, wymagające dłuższego cyklu produkcyjnego, pielęgnacji, wysokich walorów jakościowych. Mamy zatem i ogólną koncepcję eksportu polskiego — generalny kurs na dużą efektywność eksportu. Nowością tej koncepcji polega nie na tym, że mówi się dziś o potrzebie maksymalnej efektywności, lecz na bliższym niż przedtem określeniu przemysłów i branż, metod i środków działania — dla uzyskania tych korzyści. Tak dokładnych wskazań nie było dotychczas i być nie mogło. Działaliśmy bowiem do niedawna w warunkach, kiedy szło nie tyle o to, jakimi kosztami osiągniemy dewizę, lecz o to, żeby je w ogóle uzyskać. Stosunkowo niedawno wyrobiliśmy sobie markę w świecie handlowym, która pozwala nam dzisiaj na taką politykę.

Jeszcze obecnie połowa naszego eksportu, to mało pracochłonne wyroby. Kiedy jednak czyta się w tezach na IV Zjeździe, że mamy np. podwoić produkcję przemysłu maszynowego dla eksportu i antyimportu, należy zdać sobie sprawę z tego, iż zmiany w tej dziedzinie już są widoczne. W ciągu dwóch lat podwoiliśmy eksport maszyn włókienniczych, a w tym roku wzrosło on o dalsze 20 proc. Sprzedaliśmy ponad 100 ogromnych, kompletnych obiektów przemysłowych. W samej Wielkopolsce, rejonie o raczej rolnospożywczej produkcji eksportowej, zachodzą szybkie i głębokie zmiany w strukturze wywozu. Jeszcze dwa lata temu przetwory rolne stanowiły dla nas prawie 80 proc. produkcji eksportowej, a dzisiaj już blisko o 20 proc. mniej. Z kolei przemysł ciężki zwiększył swój udział w wielkopolskim eksporcie o prawie 5 proc., przemysł lekki udział swój podwoił, więcej daje też przemysł

Zbiut Sęk

Nowy kształt handlu zagranicznego

drzewny, ceramiczny, drobna wytwórczość. A ostatnie wyniki wielkopolskiej produkcji świadczą wymownie o ugruntowanym wzroście produkcji eksportowej: z porównania pierwszych kwartałów ubiegłego i bieżącego roku wynika, że zwiększyła się ona o 36 proc., tj. znacznie powyżej średniej krajowej. Koncepcja bardziej efektywnego eksportu nie narodziła się więc nagle. Przez długie lata tworzyliśmy warunki ku temu, by dzisiaj móc upowszechniać tę politykę. Dotąd głównie w „Cegielskim” obliczano wartość dewizową kilograma wagonu czy obrabiarki. Ale też zaczęliśmy tak liczyć w Jarocińskich Zakładach Przemysłu Maszynowego, w przemyśle terenowym, w spółdzielniach pracy. HCP wystawiają na obecnych Targach między innymi kanistry, ale mówią zarazem wyraźnie, że będą się specjalizować głównie w produkcji obrabiarek. Tak właśnie rodzi się nowa szczegółowa koncepcja eksportu. Pozostaje szukać powszechnie nie praktycznego rozstrzygnięcia dla tezy o wzroście produkcji na eksport.

Ta szczegółowa koncepcja nie jest jeszcze do końca określona przez przemysł i handel zagraniczny. Drobniagowe opracowania mogą nastąpić dopiero w toku kompozycji przyszłego planu pięcioletniego. Trzeba jednak zdać sobie z tego sprawę, że właśnie od tych szczegółów zależeć będzie realność ogólnej koncepcji handlu zagranicznego. O naszym powodzeniu przesądzi trafność oceny eksportowych szans na światowych rynkach, nasz wybór specjalności i przygotowanie się do ich produkcji. Specjalizację ułatwia nam określić podział pracy dokonywany w łonie Rady Wzajemnej Pomocy Gospodarczej. Ale chodzi jeszcze o szczegóły, o ważne decyzje przemysłu i handlu, dotyczące samookreślenia się w przyszłym eksporcie.

Potrzeba na to czasu, dogłębnej analizy chłonności rynków, przynajmniej własnych możliwości wyboru środków. Znowu pomocne w tym są tezy na IV Zjeździe, bo wysuwają szereg konkretnych postulatów wobec producentów i handlu zagranicznego, przygotowują grunt dla ich współodpowiedzialności za losy przyszłych kontraktów. Tezy nie mówią jednak o wszystkim. Autorzy polskiego eksportu muszą wypracować szczegóły koncepcji — własnym doświadczeniem. Wiele przydatnym do tego są targi międzynarodowe.

W Zakładach HCP wiedzą o tym od dawna, toteż co roku „robą frekwencję” na licznych targach światowych (w tym roku — na 24 wielkich imprezach). Mają dosyć dowodów (ostatnio choćby z Holandii, Belgii, Danii, Australii, Kanady, Francji, czy Finlandii), by mówić dzisiaj, że targi decydują o wzroście obrotów, popularyzują bowiem markę, ułatwiają sprzedaż, zapoznają z możliwościami konkurentów. To przekonanie trzeba umocnić u naszych producentów i

handlowców. Mamy ku temu przynajmniej jedną w roku okazję — nasze MTP.

Jest to najefektywniejsze źródło doświadczeń, pole obserwacji, dogodne miejsce wzajemnych konsultacji i porozumień między przemysłem a handlem w celu opracowania szczegółów polskiego wywozu. I dla tych zatem partnerów okres do 1965 roku powinien być przejściowym etapem dla wybrania nowych specjalności dla polskiej kuchni eksportowej i sprzecyzowania nowych wymogów wobec samej poznańskiej imprezy targowej. Z okazji tej można skorzystać już obecnie, w dniu otwarcia XXXIII MTP.

Salon Wiosenny

Od pewnego czasu wytworzyła się sytuacja, w której oficjalne przeglądy dorobku artystycznego środowisk plastyków, zwane „salonami”, przestały być rzeczywistym sprawdzianem aktualnych możliwości twórczych miejscowych oddziałów Związku Plastyków. Tak jest w Warszawie i w Krakowie, podobnie było i dotychczas w Poznaniu. Stąd też rzadko już dziś kto właśnie na podstawie „salonów” urabia sobie jednoznaczne opinie o całym środowisku plastyków. W wielu przypadkach byłaby ona krzywdząca, gdyż w świetle innych wystaw potrafi ono niejednokrotnie pokazać się z jak najlepszej strony.

Ostatni poznański Salon Wiosenny nie jest również w pełni reprezentatywny dla poznańskiej plastyki, ale jest już z całą pewnością lepszy i ciekawszy od poprzedniego. Mamy tu kilka dobrych obrazów, rzeźb i grafik. Jest tu też znacznie więcej niż w latach ubiegłych prac średnich, niezłych artystycznie, a w każdym razie sprawnych warsztatowo. Ogólna tendencja środowiska do malowania pejzaży, nabrała tu cech ustabilizowanej solidności, chętnie odwołującej się do

PLASTYKA

doświadczeń przeszłości. Nie jest to najszcześliwsza tendencja, chociażby dlatego, że jest zbyt uniwersalistyczna; ale dzięki niej chyba uwidacznia się właśnie ów stały wzrost poziomu warsztatowego i „ujednoliconych” kryteriów. Kilka obrazów, jak to zwykle bywa na tego typu wystawach, wybijają się ponad pozostałymi. Jest na tym Salonie jedna dobra ściana. Może to przypadek, ale obok siebie wiszą na niej właśnie te wszystkie najciekawsze obrazy. Są tu dwa frapujące malarsko płótna Drogomira Krajewskiego, błyskotliwe technicznie; wyrawne i rzetelnie doprowadzone do końca. Obok wisi „Kuznia” Jędrzeja Łubowskiego będąca w moim odczuciu jakąś daleką, ale bardzo interesującą parafrazą tematu teatralnego, tuż obok niej bardzo dobry „Pejzaż górski” Eugeniusza Gabrylskiego, a dalej kolejne pejzaże Wacława Twarowskiego i Janusza Bersza. Ponadto wyróżniają się tu jeszcze wrażliwością malarską i sprawnym warszatem pejzaże: Zofii Krzyślak-Durczakowej, Józefa Durczaka, marliwa natura Jana Dasewicza, „Kwiaty” — Krystyny Krause i bardzo młodopolski z ducha pejzaż Edmunda Łubowskiego. Pięknie wystartowała też na Salonie dwoma płótnami Krystyna Skupinowa. Jest to debiut z jak największymi nadziejami.

W grafice zwracają uwagę swą wirtuozerią techniczną i wyrafinowaną zabawą w szlachetność tkanki odbitek prace Kazimierza Stawińskiego. Dobre linoryty dał też Zbigniew Kaja, interesująca jest również „nawiana” stylizacja prac Eugeniusza Małdzisa.

Bardzo długą i wyrównaną serię arcytrudnych technicznie barwnych drzeworytów, wypracowanych tu z całym ujmującym kunsztem pozornej prostoty zaprezentował również Franciszek Burkiewicz. Są tu jeszcze dwa dobre tusze Jana Berdysza i szkice marsylskie Ryszarda Skupina.

W rzeźbie zwracają uwagę maleńkie, ale niesłychanie monumentalne w działaniu na widza figurki ceramiczne Janusza Bersza, ciekawy w bryle „Ikar” Jerzego Sobocińskiego oraz jak zwykle piękne i skromne plakiety Józefa Stawińskiego. Nie można też przejść obojętnie wobec scenograficzno-rzeźbiarskiej machiny biurokracji, skonstruowanej przez Juliana Boss-Gosławskiego.

O. B.

Piotr Życki

Bez przesady dobrze?

Awięc znowu Targi. Zalew przybyszów, krajowych i zagranicznych, zmotoryzowanych i nie. Wzmoczone tętno miejskiego ruchu. Dwa tygodnie, które są właściwie dla tubylców nierzadko oficjalnie nie ustanowionymi Dniami Poznania. Poznań stoi się na ten czas, w co tam ma najlepszego. Jego mieszkańcom udziela się swoista gorączka targowa, przydająca im wigoru. No, co tu gadać: poznanianie lubią swoje Targi.

A ja, jak na rzędzie przystało, lubię Targi, lecz nie bez „ale”. Słowo daje, że nie mam na myśli kwaterunkowego dopustu, w postaci najazdu krewnych, przyjaciół, kolegów po fachu i tepe. Do tego można się z biegiem lat przyzwyczaić. Do gapiostwa — nie.

Stanowią zdecydowana mniejszość, to fakt. Ale ich nie brakuje. Nie znacie ich? No, jakże! To ci, którym nie wystarczy rzut oka na „Cedillac’a”; oni muszą go dotknąć, obejść wokół naciśnąć tu i ówdzie. W pawilonie firmy XYZ muszą, — choćby mieli się tłoczyć pospół z dzieciarnią — „zdobyć” czapkę z kolorowym napisem, czy reklamowa broszurkę. To oni lustrują od stóp do głów gości z krajów afrykańskich, „ eskortując ” ich gorliwie.

Kim są ci osobnicy, których sposób bycia cięło-naiwny, drażni ogół rzeczowych, kulturalnych mieszkańców naszego miasta? Nie podejmuję się udzielić na to pytanie jednoznacznej odpowiedzi. Z pewnością gapię tylko w części rekrutują się

z tubylców. Wiek, fach, wykształcenie, pleć — zdają się tu nie grać roli. Łączy ich to, że zainteresowanie zastępują nachalnością, uprzejmość — uniżonością, uznanie dla produktów pochodzenia zagranicznego — spazmatycznymi zechwytańkami. I wywołują swym sposobem bycia pośród targowych gości zażenowanie, uśmiechy (co najmniej) pobłażania, komentarze.

Po co? Komu to potrzebne? I o co właściwie chodzi? Kompleksy niższości? Kompleksy niemożności, a przede wszystkim — nie na miejscu.

Pierwszy felietonista „Życia Warszawy”, Władysław Kopaliński, rozkładał się ostatnio nad najnowsza edycję „Nocy i dni” Dąbrowskiej; że niby taka ładna (edycja), ale niestety... rodem z NRD-owskiej drukarni. No to co? Zapraszam Kopalińskiego do Zakładów Graficznych im. Kaspra-

Z zapisków zrędy

ka, gdzie można obejrzeć fenomenalnie wydane książki, produkowane na zlecenie... wybrednych Skandynawów. Zachwycają się poniekąd modelami nowoczesnych mebli, zachodniej produkcji. Kochani, w Paryżu (spytał się dyrektora Zjednoczenia Przemysłu Meblarskiego, Poznań, Libelta 1a) furorę robią sprzety zaprojektowane w PRL, biedniarki dżem wiśniowy (made in Międzychód) zdobył także srebrny medal w bardzo silnej konkurencji z firmami dziesiątków państw, a wciąż niedość popularna „Maraqo” uzyskała jedną z najwyższych ocen wśród wszystkich tego typu sprosokowanych kaw, wytwarzanych w Europie. Zdystansowaliśmy „Kolibrami” czy „Ałutami” potęgę radio-techniczne, jakimi są nasi zachodni i południowi sąsiedzi, a o tym, że nasze welny jeszcze w tamtym dwudziestolecu wędrowały do Anglii wyłacznie po... melkę z obcojęzycznie brzmiącą firmą, wie prawie każdy.

Uff, poniósł mnie nieco (ha, zaraźliwa rzecz...) patriotyzm felietonowy. Przypnę, iż nie brak w tym, co przytoczyłem, elementów dziecięcej licytowaniki: ja mam to, a ty nie masz, bee...! A przecież nie o wylizanie, licytowanie, zestawianie, chodzi. Chodzi o to, żebyśmy od czasu do czasu uzmysłowili sobie, że wprawdzie wielu rzeczy jeszcze nie mamy, albo mamy może nie takie, jakie stanowią szczyt naszych marzeń — niemniej postęp jest oczywisty, bezsporny i, co najważniejsze, szybszy niż kiedykolwiek. Szybszy niż kiedykolwiek — nie znaczy dostatecznie szybki w zestawieniu z naszymi ambicjami, dążnościami, naszą niecierpliwością.

Cóż, nawet unowocześniona „Warszawa”, nie potrafi zastąpić nam uroków „Citroena”, „Czajki”, czy „Peugeota”, to fakt. Ale i z tego warto zdawać sobie sprawę — nie mam tu na myśli samochodów — że nieraz zagraniczne opakowanie okrywa nie najlepszy produkt; często człeka po ciągą coś zagranicznego z prośbie przyczyny, że ten papieros, napój, materiał — jest po prostu inny. Dotyczy to zwłaszcza sfery mody. Ale — Kochani, gentleman nie oqlada się za kobietą. Gapienie się nie jest w dobrym tonie. Jakiekolwiek gapienie.

Mamy „Merkurego”, elektryczne połączenie kolejowe ze stolicą, nowe rozwiązania urbanistyczne najbliższego otoczenia Międzynarodowych Targów, zrobiliśmy w ostatnich czasach dużo i robimy chyba coraz więcej. Zaferowani robota — nie mamy potrzeby ukrywać, że to czy tamto jeszcze nie przedstawia się tak, jakbyśmy chcieli. Nie na miejscu są tu jakieś kompleksy niższości w stosunku do tych, którzy nieraz względem natury historycznej, czy wręcz geograficzno-geologicznej, zawdzięczają, że widzieć się im dobrze nie od dziś. Aby sobie z tego zdać sprawę — potrzeba tak zwanego dystansu, potrzeba trzeźwości sadu, rozważyć, może szczyplą flegmą.

Gdy dziecko sięga po książkę

Około drugiego, trzeciego roku życia — zależnie od stopnia rozwoju i środowiska — dziecko wyciąga rękę po książkę z obrazkami i kategorycznie oświadcza, że chce „czytać”, co przełożone na język dorosłych, oznacza, że chce oglądać ilustracje. Ważna to chwila w życiu małego człowieka; to po raz pierwszy nawiązany zostaje kontakt z książką.

Nie lekceważmy tej chwili — brzemienne jest bowiem w wiele walorów poznawczych i pedagogicznych. Ilustracja — bo nie tekst przyciąga dziecko do książki — wzbogaca jego wyobraźnię, kształci umiejętność spostrzegania, budzi zainteresowanie bliższym i dalszym otoczeniem (u dorosłych mówi się, że rozszerza horyzonty), wywiera dobroczynny wpływ na rozwój słownictwa dziecka. Kontakt z książką — to okazja, by nauczyć je porządku i szacunku dla biblioteki. Na dalszym etapie wywołuje chęć zrozumienia tekstu, a więc opanowania umiejętności czytania. Dobra ilustracja kształci smak estetyczny dziecka. Nawet, gdy nie rozumie jej treści — barwne plamy, układ linii i konturów cieszą oko.

Polska literatura dziecięca cieszy się ogromnym powodzeniem na międzynarodowym rynku księgarskim. Niemala w tym zasługa jej szaty graficznej, ilustracji. Mamy przecież plejadę utalentowanych grafików, którzy — na szczęście — nie pogardzają literaturą dziecięcą i hojnie darzą ją swoją inwencją i temperamentem artystycznym.

Parafrazując naszych sportowych dziennikarzy — mam ochotę powiedzieć: Szkoda, że państwo tego nie widzieli. Mam na myśli Ogólnopolską Wystawę Ilustracji Książkowej, którą przez cały maj gościła warszawska „Zachęta”. Przyjemnie było popatrzeć — prace zwłaszcza z zakresu literatury dziecięcej, świadczyły wymownie o rzeczywiście wysokim poziomie naszej grafiki. Jest śmiała, pełna fantazji, nastroju, a równocześnie czytelna, związana z konkretną treścią ilustrowanych książek. Nic dziwnego, że jest tak wysoko notowana nie tylko w kraju, ale i za granicą.

Nie żałujmy więc dzieciom ani książek, ani czasu na wspólne ich oglądanie i omawianie. Przyjemna to i pożyteczna zabawa, kiedy wprowadzając dziecko w treść obrazka, sprowokujemy wypowiedź na ten temat. Nie trzeba chyba dawać, że wybór książki musi być uzależniony od wieku dziecka (wystarczy poinformować się w księgarniach — powiedzą), i że ta zabawa powinna być jak najbardziej dobrowolna, nie narzucona.

Od serca...

W „Czytelniku”, jak zawsze, zdecydowany prymał literatury polskiej, choć nie brakuje i wartościowych przekładów.

Bardzo serdecznie pragnąłbym polecić lekturę nowej książki **Danuty Bieńkowskiej**. Tym razem jest to świetnie, że swada napisana literacka biografia dr. Tylusa Chałubińskiego „**Le-karz starej Warszawy**”. W ogólnej opinii Chałubiński znany jest jako odkrywca Zakopanego — Bieńkowska pokazuje go nam w bojałym i dramatycznym nierzaz życiu, związanym wszakże i z Wilnem i z Dorpątem i nade wszystko z Warszawą. Wiele tu wydarzeń, od poimania Konarskiego i jego stracenia, po Powstanie Styczniowe i jego konsekwencje. A ile postaci, wybitnych, związanych ze wspomnieniami historii! Czasem tylko żal, iż autorka nie połączyła niektórych zagadnień, traktując je bardzo z dawnowo. Ale w sumie świetna to, naprawdę pasjonująca lektura.

Godna wielu pochwalnych słów jest także nowa książka **Zbigniewa Nienackiego** „**Z głębokości**”. Autor starlujący ongiś od powieści młodzieżowych, zaskakuje w swym utworze subtelnością umiędzynarodowienia ludzkiej psychiki. „**Z głębokości**”, to utwór osadzony właśnie w psycho-

logii, próba ząłębienia spraw życia i osobliwych przypadków losu ludzkiego. Sceneria współczesny szpital, walka o życie bohatera, a obok, czy równolegle, dramat ludzkich istnień, w obliczu choroby szczyrzych, odsłaniających się z dziecięcą ufnoscią.

A teraz trzy pozycje poetyckie, z których każda stanowi swoego rodzaju majstersztyk edytorski. A więc naj-samprzód **Władysława Broniewskiego** „**Wiersze warszawskie**”, ilustrowane przez Olę Siemaszkową. Nowe wydanie tekstów tak nieodłącznie związanych z Warszawą poety, od „**Róży**” aż po fragmenty „**Wisły**”. Szkoda może, że jeśli już nie przy poszczególnych utworach, to chociaż w spisie treści Wydawnictwo nie zamieszczało dał znaczących powstanie poszczególnych utworów, pełniej to rzutowałoby na przejrzystość odbioru. Z kolei pierwsze książkowe wydanie „**Listów z fiołkiem**” **K. I. Gałczyńskiego**. Nie trzeba przypominać uroku kryjącego się w pozornym bezsensie tych listów drukowanych ongiś w „**Przekroju**”. Znakomite, jak w wiele lat po ich wydrukowaniu okazują się one w niejednym aktualne i dziś. I jak zawsze, są pełne umoru, serdecznej kpiny, wisielczego humoru. Na koniec, nowy tomik mikroskopiowej serii poetyckiej „**Czytelnika**”. Tym razem jest to wybór utworów **Ludwika Kondratowicza** (**Władysława Syrokomli**) w opracowaniu graficznym **Andrzeja Heidricha**.

Z nowości prozy polskiej należy jeszcze wymienić tom opowiadań

Henryka Gaworskiego „**Odwiedziny**”, debiut prozatorski znanego poety. Gaworski poprzez pewną chronologię układu swych opowiadań usiłuje wskazać rozwój pewnych procesów czy wydarzeń na przestrzeni mijającego dziesięciolecia. Opowiadania są nierówne w poziomie, ale w całości stanowią ciekawą próbę spojrzenia na współczesność. W serii „**Głów wawelskich**” otrzymaliśmy wznowienie „**Okruchów weselnego tortu**” **Wojciecha Żukrowskiego**. Jest to uroczy, pełen sentymentu i liryki, a przy tym niekłamnego humoru tomik wspomnień z lat szczęśliwych, jedna chyba z najlepszych tego typu pozycji w naszej literaturze.

Z przekładów „**Czytelnikowskich**” chciałbym dziś wskazać na jedną, nader ciekawą pozycję. Są to „**Kregi na wodzie**” **Johanny Moosdorf**, pisarki niemieckiej, mieszkającej w Berlinie zachodnim. Poprzez niejawną sumę ciężkich osobistych przeżyć w okresie wojennym pisarka w wyostroszony sposób dostrzega dzisiejszą rzeczywistość niemiecką, zwłaszcza przeraża ją bezkarność dawnych hitlerowców, co wiecie ich próby aktywnego wpływu na aktualne wydarzenia, wpływ wywierany na pewne części społeczeństwa. Odważna, mocna książka, bardzo przy tym szczerą, pisana i rozumem i sercem.

Z książką na ty

Komedie na lato

Jak tylko robi się gorąco, publiczność nie chce chodzą na tragedie, na wszystko, co trudne i poważne. Wiedza o tym od lat teatry i zawsze letnia pora dają same komedie. Tym razem otrzymaliśmy dwie nawet i to nieomal równocześnie. Obie stare, sprawdzone już i czcigodne, a miejmy nadzieję, że również i frekwencyjne. Najpierw zobaczyliśmy „**Grube ryby**”.

Przedstawienie z myszka. Wyjątkowo staroświeckie. Wiadomo, Bałucki. Komedie stara i bardzo staromodnie też odegrana. Trochę pod publikę, farsowo i z przytupem. Nareszcie coś dla aktorów, do wyręczenia się, do popisania.

Co pewien czas teatr powinien pokazywać nam nie tylko stare sztuki, ale i stare spektakle. Pocziwy teatr dzieciętnastowieczny naszych pradziadków i prebabek, oraz naprawdę znakomitych aktorów. Od razu nasuwa się tu jednak małe pytanie, czy to się uda. Czy współcześni aktorzy czują jeszcze styl tamtego teatru, czy wiedzą jak się to dawniej grywało Bałuckiego, tak po staremu, farsowo, ale z pewną elegancją i z fasonem. Tak w rytmie rozłożonego kadryla. Niestety, powiedzmy to sobie zupełnie szczerze, już tak grać nie umiają. „**Grube ryby**” dają na to pytanie odpowiedź dość jednoznacznie negatywną. Od pierwszych scen komedii staje się jasne, że tylko jubilat — **Władysław Stoma**, wie jak się dawniej grało Wistowskiego. Staromodnie, przesadnie komicznie, ale jakoś autentycznie, muzealnie, tak jak trzeba. Oczywiście tak grać może tylko aktor z tamtego starego teatru, ten co studiował swe

role u Solskiego, Frenkla i Fernera, podpatrywał ich zza kulis, zapamiętał i skopiował. Nie mógł on jednak, (a może nie potrafił, bałbym się tu jednoznacznej opinii) przekazać tego stylu pozostałym aktorom. Tym, którzy tego starego teatru nie znali, albo całkowicie już o nim zapomnieli. I Stoma pozostaje na scenie sam. Ma tylko jednego kompana do zabawy. Jest nim **Lech Biłajd** „defektywny radca stanu” **Pagawoż**. On, choć nie zupełnie z tej samej konwencji jest rodem, też ma swój styl, bawi się i jest komiczny. Bo pozostali aktorzy nie podejmują zabawy wraz z nimi. Towarzyszą tylko spektaklowi.

Niełatwo jest wrócić do starego teatru, o niejlatwo.

Z „**Dundo Maroje**” albo „**Rzymską Kurtyzana**” (komedia ma dwa tytuły, w tym jeden nawet wiele mówiący) nie było już tych kłopotów. Komedie na tyle jest już stara, powstała grubo jeszcze przed Szekspirem, że nie wymagała wcale jakiegos nowego i sobie tylko właściwego klucza inscenizacyjnego. To szczytowe bez wątpienia dzieło starego teatru serbskiego, reżyserował w dodatku Jułosłowianin i to w oparciu o wzorcowy wręcz spektakl **Bojana Slopica**, oglądany zresztą przed pięcioma laty w wykonaniu teatru z Belgradu również w Poznaniu. „**Rzymska Kurtyzana**” — komedia typowo renesansowa, bliska lepiej nam znanym sztukom Machiavelliego ma wszelkie szanse, aby stać się źródłem do świetnej, pełnej życia i wigoru zabawy. Jest dowcipna, lekka, bardzo „teatralna”, ale... oczywiście i schematyczna. Możemy bawić się na niej naprawdę znakomicie. Spektakl ma tempo, bojąctwo scenicznego „dziania się”, wiele urody i zabawnych scen i charakterów. Każdy z jego bohaterów ma tu jasną, ściśle oznaczoną i konkretną rolę, kreuje określony typ człowieka, dosadny i bardzo portretowy. Wszystko to ułatwia aktorom ich zadania.

Oczywiście w tej sytuacji najlepiej musiały wypaść role charakterystyczne. No i od razu trzeba tu stwierdzić, że zostały one w pełni aktorsko wykorzystane. **Marian Pogasz** jako tytułowy **Dundo**, chciwy i niezbyt sympatyczny kupiec z Dubrownika, pokazał to, o co właśnie chodziło. **Plastykę sylwetki**, typowość i dosadność charakteru. Z rolą jego płacziwego sługi **Bokczy** doskonale radził sobie **Zbigniew Szpecht**, podobnie zresztą jak **Tadeusz Wojtych**, czy **Henryk Machalica**, ze swoimi epizodami oberżysty i lichwiarza, lub **Zdzisław Zachariusz** ze swą kukielkowo-komiczną postacią **Hugo Tedesco**. Wiele życia, uroku i dellartowskiej lekkości wnosil za każdym swym pojawieniem się — narrator spektaklu — **Pomeł** — **Jarosław Strzemienia**. Uwodzielskie talenty pięknego **Moro** niezłe sprzedał na scenie **Jerzy Kizkisz**, podobnie jak **Leonard Pietraszak** jego sługi **Popivy**.

Drżić — kobiet zbyt nie wykspono-wa. Najwięcej do roboty miała tu tylko **Petrunkella** (**Ślawa Kwaśniewska**), służąca niby to tytułowej kurtyzany, która wypadło tu grać **Kazimierz Nogajównie**.

Scenografia **Stanisława Bąkowskiego**, stylowa, bardzo renesansowa i estetyzująca ładna w swej spokojnej i stonowanej fakturze starych murów.

TEATR POLSKI W POZNANIU: „**Grube ryby**” — komedia w 3 aktach **Michała Bałuckiego**, w reżyserii **Wł. Stomy** i scenografii **Zb. Bednarowicza**. Premiera: 3 czerwca.

TEATR NOWY W POZNANIU: „**Dundo Maroje**” — komedia **Marina Drżića**, w opracowaniu **Marko Foteza**, reżyserii — **Branko Gombača** i scenografii **Stanisława Bąkowskiego**. Premiera: 6 czerwca.

Hrabia Luxemburg na MTP

Jako lojalna Polka — wdowa i obywatelka **PEEREL**, każdego roku w czerwcu przychodzę z pomocą władzom miasta Poznania. Pokój wynajmuję dla elementu napływowego. Nie tylko noclegi daję, ale, jak kto żyćcy, stołowanie prowadzę. Taki jak to się za czasów ziemianskich mówiło, table d'hôte. Czasem wygląda to u mnie na „table de hôte”, ale to już nie moja wina. Od wielu lat tak się męczę.

Zazwyczaj brałam krajowych gości, ale w tym roku, dla urozmaicenia, powiedziałam w biurze zakwaterowań: Owszem mogę kogoś wziąć, ale z importu. Możliwie pierwszys sort. Mieszkamie mam ładne. Nad tapczanem arcydzieło sztuki plastycznej wisi. Jeleń z rogami u wodopaju. Pamiętka po mężu. A antrejka, proszę was, taka obszerna, że w przysłym roku dyrektor MTP może w niej pawilon królestwa Maroka zlokalizować.

Faktycznie po paru dniach zjawia się gość. Fowadżny, przystojny z walizką, z wąsikami, ale bez nalogów. Handlowiec z **Luxemburga**, jak się okazało. Może być, czemu nie. Jakoś tam dogadaliśmy się. Trochę po szwajcarsku, trochę po belgijsku. Bo języka **luxemburskiego** nie ma: kraj mały i biedny, na taki luksus nie może sobie na razie pozwolić.

A na naszych targach co wystawiacie? — pytam. Zegarki — odpowiada. Phi, wielka rzecz. My też produkujemy niezłe. Taki choćby zegarek „**Blonie**”. Tydzień chodzi bez nakręcania. A z nakręcaniem jeszcze dłużej. I cyferblat ma taki, co to świeci w nocie bezneonowo. Nawet jest o tym piosenka ludowa w okoli-

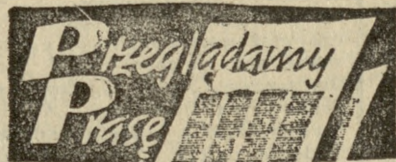
cach **Ciechanowa**: „**Tam na „Blonie”**” bliższy przecie...”

Aż tu po pewnym czasie ów hrabia **Luxemburg** zaczął zachowywać się trochę... nie luksusowo. Wracal późno do domu, oczywiście pod bieżącą datą, wyciągał butelkę i mówił: „**Polish vodka gut**”. Nie mówi się „**poliz**”, powiadam, ale „**popij**”. Więc popijał. A jak popił, to mu się zbierało na... dyskusję. Vous etes **Delicatesse**” powiada i patrzy na mnie jak na eksponat w amerykańskim stoisku. I jeszcze nadmieniał, że mam niby taki telewizyjny dekolt. Dwadzieścia jeden cali w przekroju. Z lampą kineskopową w sercu. Gadał do lampy, myślę sobie. Na politechnizację mnie nie nabierzesz. A w ogóle, albo przestaniesz z tymi aluzjami, powiadam, albo się wyprowadzi. Decyduj się pan. Aut, aut. Na to on, że aut ma dosyć w swej ojczyźnie, a tu lubi spacery. I mnie też lubi. I zaraz chciał pokazać, jak bardzo.

A ja mu pokazałam drzwi. Owszem, powiada, już oglądał, ale oni u siebie mają lepsze. Taki bufon, no.

Wieczorem spakował walizkę, powiedział „**gud baj only ju**” i odjechał takową nr 1028. Na drugi dzień był czwartek, ale nie było mojej złotej bransolety na etażerze. Może zaufanie do obco-krajowców zachwiałło się ostаточно, kiedy po południu przyszedł milicjant i zapytał, czy ten obywatel **Leon Kizszak** ze **Zduńskiej Woli** jeszcze mieszka u mnie, bo go właśnie szukają.

O, nie, moi drodzy. Drugi raz gościa zagranicznego na pokój nie wezmę. Rodak by mi takiego świństwa nie zrobił!



PRZED IV ZJAZDEM PZPR

Za tydzień rozpoczyna obrady IV Zjazd PZPR. Z tej okazji „**Polityka**” szczerdnie wiele miejsca poświęca sprawom partyjnym. Na stronie pierwszej i ostatniej tygodnika — w formie tzw. wityrny, mocącej służyć jako gazetka ścienna — pomieszczono materiały ilustrujące rozwój partii między III Zjazdem (marzec 1959 r.) a IV Zjazdem. Uzupełnia te publikacje „**Robocza kronika partii**”, w której tygodnik przedstawia przedmiot prac kolejnych piętnastu posiedzeń plenarnych Komitetu Centralnego.

HAMULEC CZY BODZIEC

Ten sam tygodnik zamieszcza artykuł **Macieja Deniszcuka**, który polemizuje z poglądami jakoby handel zagraniczny był hamulec rozwoju poszczególnych gałęzi gospodarczych.

Autor uważa, iż każda szybko rozwijająca się gospodarka (a więc i nasza) musi opierać się na szerokim rozwoju wymiany międzynarodowej. Ograniczenia w tej dziedzinie, zwłaszcza dla krajów o mniejszym potencjale, stałyby się dodatkowym czynnikiem hamującym wzrost gospodarki. Stąd tak ważne znaczenie spełnia międzynarodowy podział pracy w ramach RWPG, który zabezpiecza szybkie tempo wzrostu gospodarczego, dzięki ustabilizowaniu znacznej części obrotu handlu zagra-

nicznego. Zadania eksportowe i importowe nie mogą więc być wynikiem nadwyżek i niedoborów w bilansach towarowych; przed handlem zagranicznym staje nowe zadanie: inspirowanie produkcji eksportowej, która będzie miała długotrwałe zapewniony zbył, a jednocześnie przyniesie możliwie maksymalne efekty.

USŁUGI NA KÓLKACH

W dyskusji przedjazdowej wiele uwagi poświęcono niedostatecznemu dotychczas rozwojowi usług. Temat ten porusza w „**Tygodniku Demokratycznym**” **Antoni Perył**, który dla rozwoju usług widzi nową szansę w organizowaniu nowych form obsługi klienta wszędzie tam, gdzie istnieje niezaspokojony popył.

Nowoczesne formy w rozumieniu autora, to motoryzacja usług. Chodzi o to, by telemechanik, szklarz, fryzjer, lub inny fachowiec świadczył usługi w mieszkaniu klienta korzystając z takich środków komunikacji, jak motorower czy motocykl; chodzi jednocześnie o to, by klientowi opłacało się korzystać z tej formy usług. Dotychczas zmotoryzowani rzemieślnicy rekrutują się przeważnie z tzw. „dzikiego rzemiosła”, chociaż są już pierwsze próby wprowadzenia tej formy usług również przez spółdzielnie. Dlaczego tak nieliczne?

ŚCIGANIE ZBRODNIARZY HITLEROWSKICH

Kierownik Katedry Prawa Międzynarodowego Uniwersytetu **Adama Mickiewicza**, profesor **Alfons Kłafkowski** publikuje w „**Prawie i Życiu**” artykuł pt. „**Ściganie zbrodniarzy hitlerowskich jako problem prawa międzynarodowego**”. Autor omawia 13 podstawowych aktów prawa międzynarodowego, normujących odpowiedzialność za zbrodnie wojenne. Stwierdza, że kwalifikacja

zbrodni hitlerowskich przez prawo międzynarodowe obowiązuje powszechnie, a bezterminowe umowy obowiązują także Niemiec Republikę Federalną, która — jak wiadomo — zamierza po 20 latach od zakończenia wojny, uważać zbrodnie hitlerowskie za przedawnione.

„Zastosowanie przedawnienia do niemieckich przestępców hitlerowskich — pisze autor — oznaczałoby premiowanie władz NRF, które prowadziły sprawy ścigania zbrodni wojennych w taki sposób, że dopuścili do tak wielkiego upływu czasu i zapewnili bezkarność zbrodniarzom wojennym. Oznaczałoby to również premiowanie przestępców wojennych, którzy zdolali przez 20 lat zacierać ślady swej obecności bądź na terytorium NRF bądź w innych państwach.

Ściganie i karanie zbrodniarzy wojennych jest oparte na określonych aktach prawa międzynarodowego. Prawo wewnętrzne każdego państwa musi być w tym zakresie zgodne z tymi aktami prawa międzynarodowego. Zarówno kodeks karny NRF jak i decyzja rządu NRF na temat upływu z dniem 8 maja 1965 r. terminu dochodzeń przeciwko zbrodniarzom wojennym stanowi złamanie prawa międzynarodowego”.

„PACIORKOWANIE”

Maria Berny zajmuje się w „**Głosie Nauczycielskim**” problemem wolności sumienia w stosunku do dzieci (artykuł pt. „**Paciorkowanie**”). Zdarza się, że od dzieci niewierzących żąda się podczas ich pobytu na zimowiskach czy w sanatoriach odmawiania modlitwy wraz z dziećmi wierzącymi; zdarza się, że wożny na terenie szkoły zapułyje dziecko, dlaczego nie idzie do komunii i reaguje potem biadołeniem: jacy to bywają rodzice, o dziecko nie dbają, kary boskiej się nie

boją; zdarza się, że na terenie szkoły nauczyciel manifestuje wobec dzieci swoje przekonania religijne. To wystarczy, by dzieci niewierzące czuły się wyobcowane.

„Nie wolno dopuszczać do takich sytuacji — pisze autorka. Nie wolno stwarzać warunków, nawet nieświadomie, niecelowo, w których dziecko czuje się dyskryminowane. Coraz więcej dzieci wychowywanych jest w duchu laickim, coraz częściej rodzice życzą sobie wychowania bez jakichkolwiek wpływów wyznaniowych na swoje dzieci. Muszą często jeszcze chronić je przed atakami, zaczepkami podwórka, więc przynajmniej w szkole niech nauczyciel zapewni tym dzieciom tak samo przychylną atmosferę, jak ta, jaką mają dzieci praktykujące”.

„**Życie Literackie**” zamieszcza pierwszą część szkicu **Władysława Machajka** pt. „**Informacja — w imię kształtowania ideowego**”. Na łamach „**Kultury**” **Jan Gerhard** broni **Heleny Majdaniec**, która stała się przedmiotem ostrych krytyk z powodu zamieszczenia w jednym z paryskich dzienników niewybranych informacji m. in. na temat jej sytuacji materialnej w kraju. **Gerhard**, który przez wiele lat był korespondentem PAP w Paryżu, przedstawia mechanizm preparowania takich materiałów i stwierdza, że **Majdaniec** nie pierwsza dała ofiarą dziennikarskiej palupki; zdarzało to się wielu innym ludziom, w tym także politykom. „Nie bądźmy zbyt purytańscy... pisze autor. Te historie z całym ich mechanizmem nadają się na prawdę bardziej jako materiał do skeczu, niż do dramatu, nawet w felietonie prasowym”.

Wyszedł 1000-ny numer „**Przekroju**” — z tej okazji serdeczne życzenia dla Kogolów z Krakowa. Tygodnik HCP — „**Nasza Trybuna**” (12 stron) przynosi ciekawe materiały o kierunkach rozwoju produkcji Cegielskiego.